

Jerzy Ziomek

"Historia literatury polskiej", Klasa IX, część I: „Literatura staropolska od początków piśmiennictwa do czasów saskich”, opracowali Kazimierz Budzyk i Jadwiga Pietrusiewiczowa... : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 43/1-2, 764-776

1952

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

stoteles a i jego komentatorów, matematyce greckiej i arabskiej (w łacińskich przekładach) itd., po których wkrótce nastąpią także świeckie utwory rodzimego pochodzenia (tak w języku łacińskim, jak w językach narodowych).

Po tekście następują trzy indeksy alfabetyczne: skrowidz osobowy, skrowidz rzeczowy oraz „wykaz ważniejszej literatury przedmiotu”, przeznaczony na użytek takich czytelników, którzy przez samodzielną lekturę zapragną rozszerzyć lub pogłębić wiadomości, jakie znajdują w tekście. Na jego marginesie pozwolimy sobie zauważyć, że brak w nim *Katalogu wystawy druków krakowskich XV i XVI w.*, wydanego przez Bibliotekę Jagiellońską w r. 1936, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że autor posługiwał się nim nie tylko przy redakcji szeregu stronice (s. 76–87), lecz również przy doborze ilustracji (zob. ryc. 53–57, 59, 63).

Kończą książkę ryciny, w liczbie 106. Dobór ich jest na ogół celowy, z tym chyba tylko wyjątkiem, że zamiast minuskuły karolińskiej z IX wieku (ryc. 8) należałoby reprodukować kaligraficzne pismo romańskie XII wieku, bo nie tamto pismo, lecz właśnie to ostatnie stanowiło wzór dla minuskuły renesansowej (zob. tekst, s. 37). Żałować także należy, że niektóre druki są reprodukowane nie z oryginałów, lecz z fotografii, co wywołało konieczność posłużenia się „siatką” w takich przypadkach, gdzie tylko „kreska” byłaby na miejscu. Odezuwamy również brak wykazu rycin.

Ale te wszystkie nasze uwagi krytyczne dotyczą tylko pomniejszych usterek omawianej tu książki. Nie obniżają one jej wartości i przydatności do celów dydaktycznych i czytelniczych. Obiecujemy więc sobie po niej duży pożytek dla naszych młodszych kolegów w bibliotekarstwie i w ogóle dla szerokiej rzeszy odbiorców. Jeżeli zaś trochę przyganiliśmy jej w tym czy w owym względzie, to tylko w tej myśli, ażeby drugie jej wydanie, którego jej z serca życzymy, było jeszcze lepsze i pożyteczniejsze niż pierwsze.

Aleksander Birkenmajer

*

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ. Klasa IX. Część I. LITERATURA STAROPOLSKA OD POCZĄTKÓW PIŚMIENICTWA DO CZASÓW SASKICH. Opracowali: Kazimierz Budzyk i Jadwiga Pietrusiewiczowa przy współdziałaniu Łukasza Kurdybachy¹. Warszawa 1951, s. 212, 4 nlb. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych.

Po wydanych przed dwoma laty *Wypisach* z komentarzami otrzymuje klasa IX nową pomoc do nauki literatury ojezycznej — ambitny podręcznik, którego autorowie podjęli trudne zadanie gruntownej rewizji ocen i interpretacji literatury staropolskiej. Wydane po wojnie podręczniki: Wojeńskiego, Kleinera i (*horribile dictu*) Mazanowskich zadań tych nie mogły spełnić. O Mazanowskich nie warto mówić, podręcznik zaś Wojeńskiego i krótki *Zarys* Klei-

¹ Współautorami rozdziału poświęconego średniowieczu są Ł. Kurdybacha i J. Pietrusiewiczowa. Rozdziały wstępne o renesansie i reformacji, rozdziały o Zbylitowskich oraz od Skargi do końca okresu napisał K. Budzyk. Reszta, tj. rozdziały o Koperniku, Bielskim, Reju, Modrzewskim, Kochanowskim, Górnikiem, Orzechowskim, Kromerze i Solikowskim — napisała J. Pietrusiewiczowa.

nera dały jedynie nową wersję tradycyjnego ujęcia dziejów piśmiennictwa polskiego. Nowy podręcznik, przygotowany w Instytucie Badań Literackich realizuje wreszcie program nauczania historii literatury w klasie IX i — co najważniejsze — podejmuje pierwszą próbę marksistowskiej oceny tego trudnego okresu.

Omawiany podręcznik obok części drugiej, obejmującej epokę oświecenia jest jak dotychczas, pierwszą zrealizowaną pozycją planu prac podręcznikowych IBL. Potrzeby szkoły i chronologia zdecydowały, że najpierw wyszedł podręcznik omawiający epokę najslabiej opracowaną przez marksistowskich badaczy literatury. Zainteresowania marksistowskiej nauki o literaturze w Polsce objęły początkowo epokę pozytywizmu, potem oświecenia, romantyzm, literaturę epoki imperializmu i wreszcie literaturę najnowszą. Uprzywilejowanie tych epok miało swoje uzasadnienie, o którym nie miejsce tu mówić; tak czy inaczej literatura staropolska pozostała kopeciuszkiem. Marksistowskich opracowań szczegółowych z tego okresu mamy niewiele, czekamy w dalszym ciągu na pomoc historyków, którzy nie dali dotychczas poza tezami dyskusyjnymi zarysu syntezy epoki.

W tych warunkach powstała książka, która w formie dostępnej, z natury rzeczy nie dyskusyjnej, musiała dokonać gruntownej, po marksistowsku pojętej syntezy literatury na przestrzeni kilkuset lat. Autorom podręcznika nie wolno było kierować się osobistymi zainteresowaniami, przed nauczycielem i uczniem nie można się tłumaczyć brakami w stanie badań. O Kochanowskim, Modrzewskim czy Potockim trzeba było pisać najwięcej i najlepiej bez względu na to, czy byli oni przedmiotem bardziej szczegółowych badań.

Ten stan rzeczy świadczy o trudnościach i poniekąd tłumaczy błędy. Trzeba stwierdzić z góry: autorowie przedstawili pracę na poziomie swych możliwości. To nie przeczeźność recenzenta, ale w miarę ścisła konstatacja. Poziom podręcznika odpowiada stanowi badań nad literaturą staropolską, a nawet niejednokrotnie poszczególne interpretacje mogą stanowić punkt wyjścia do monograficznych rozważań.

Przypis Ministerstwa Oświaty zatwierdza ten podręcznik jako materiały pomocnicze na rok szkolny 1951/52. I słusznie. Szybkie postępy naszych planowych prac badawczych będą do tej pierwszej redakcji wносиły stale korektury i uzupełnienia. Jeśli za rok obecna wersja okaże się przestarzała — to dobrze. Będzie to jeszcze jeden dowód żywotności marksistowskiego literaturoznawstwa i doskonalenia jego badawczych narzędzi.

Ale już teraz trzeba pod adresem podręcznika wypowiedzieć wiele krytycznych uwag. Nie pretensji, ale raczej uwag, które w intencji recenzenta mają charakter dyskusyjny i polemiczny.

Pierwsza uwaga wypływa z doświadczeń dyskusji nad prawami rozwoju literatury jako swoistej formy świadomości społecznej, dyskusji opartej na genialnych pracach J. Stalina o językoznawstwie. Mam na myśli oczywiście nie trudne, zbyt skomplikowane dla ucznia rozważania teoretyków literatury, lecz jedynie jej wykorzystanie w praktyce interpretatorskiej. Dyskusja stalinowska rozpoczęła się w czasie, kiedy podręcznik był już właściwie na ukończeniu. Toteż autorowie nie mieli najdogodniejszej sposobności do wykorzystania w trybie redakcyjnym jej doświadczeń. Mimo to trzeba te sprawy poruszyć, żeby przypadkiem pośpiech i naglenie wydawcy nie uniemożliwiły usu-

nięcia w następnym wydaniu popełnionych już błędów, z których w dużym stopniu mogą być autorowie obecnie wytłumaczeni.

Ujęcie podręcznika jest dosyć wyraźnym odbiciem błędów poprzedniego etapu walki o marksistowskie literaturoznawstwo, błędów, do których najlepiej przystaje termin: ekonomizm. Nie ma tu już wprawdzie prób wulgarnego tłumaczenia zjawisk literackich zmianami zachodzącymi w bazie, ale jest jeszcze nie przewyżczona tendencja do uproszczeń, do pomijania owych transmisji, które przenoszą zmiany w bazie do tej części nadbudowy, którą jest literatura. Nie pamiętali autorzy podręcznika o tym, że stosunki gospodarcze pośrednio, w pierwszej instancji decydują o dziejach literatury, skoro napisali na s. 38: „Wiek XVI jest już okresem zaniku wielkiej literatury renesansowej we Włoszech. Dzieje się to wskutek upadku gospodarczego kraju. Główne drogi handlowe prowadzące przez Europę na południe straciły już wtedy dawne swoje znaczenie”. W następnych zdaniach czytamy już wprawdzie o reakcji feudalnej, która niszczy dorobek humanistycznej sztuki i tym samym zbliżamy się do poznania prawdziwego mechanizmu dziejów sztuki, jednakże ośmielam się twierdzić, że uczeń podchwyci i zapamięta przede wszystkim nęcące definicyjnym charakterem cytowane wyżej zdania i nauczy się wulgaryzowania.

Podobnie niebezpieczne jest lekceważenie problematyki artystycznej, która jakby nie istnieje dla autorów. Zadowolają się oni na ogół interpretacją poglądów wyłożonych *expressis verbis* lub ograniczają się do nie nie mówiących ogólników. Nie zapominam przez chwilę, że jest to zadanie najtrudniejsze, szczególnie na poziomie podręcznika, toteż uwagę tę traktuję jako postulat.

Te niedostatki metodologiczne sprawiły, że w podręczniku literatury najlepsze, najjaśniejsze partie stanowią wstępne charakterystyki historyczne w przeciwieństwie do częstokroć ogólnikowych i schematycznych charakterystyk pisarzy i ich dzieł.

Przejdźmy do uwag szczegółowych.

Literatura w języku polskim powstaje wtedy, gdy o jakiegokolwiek postępowej roli kościoła nie mogło być mowy. Słusznie więc interpretują autorowie literaturę kościelną jako narzędzie agitowania i wychowywania mas w interesie feudalnego kościoła. Skutecznie przy tej okazji obalony zostaje mit o kulturalnym posłannictwie kościoła, o jego rzekomych zasługach w tworzeniu literatury w języku narodowym. Jednoznacznie i jasno wytłumaczone zostało w podręczniku dopuszczenie *linguae vulgaris* do literatury religijnej, trafnie pokazany został napór mas ludowych na kościół jako zasadnicza przyczyna ustępstwa duchownej hierarchii. Kościół został zmuszony do dopuszczenia języka polskiego do praktyk religijnych i do literatury, początkowo w obawie przed nawrotem pogaństwa, z czasem głównie w obliczu niebezpieczeństwa grożącego ze strony plebejskich ruchów kacerskich (np. husytyzm).

Tak zatem owocnie została zastosowana tu teza o roli mas ludowych w historii. Podręcznik zwraca uwagę na fakt, że wraz z językiem narodowym do religijnej literatury przedostały się elementy ludowych wyobrażeń i ludowego poglądu na świat. Jako przykład podręcznik cytuje słynne *Zale M. B. pod krzyżem* (tzw. *Planctus*), bliższe niewątpliwie ludowym pieśniom żalobnym niż *Pismu świętemu*. Mówiąc o dewocyjnej i ascetycznej propagandzie literatury religijnej, słusznie autorowie akceptują szczególnie reakcyjną rolę hagiografii,

która przykładami z życia świętych, przykładami wyrzeczeń, poświęceń i cudów uczyła posłuszeństwa dla kościoła, obietnicą nagrody niebieskiej rozładowywała antyfeudalne nastroje ludu.

Takiej interpretacji można by całkowicie przytaknąć, gdyby nie błędne ograniczanie zadań literatury religijnej do wychowania mas ludowych. Autorzy tej części podręcznika przeprowadzili fałszywą linię podziału ideologicznego. Z jednej strony postawili masy ludowe, z drugiej feudalów nie odróżniając feudała świeckiego od duchownego. Taki przynajmniej wniosek wyciągam czytając na s. 21 interpretację *Legandy o św. Aleksym*, a przecież schemat, jakim posłużyli się autor i polski adaptator *Legandy o św. Aleksym*, był także obliczony na zagıtowanie świeckiego feudała. Obietnica nagrody niebieskiej lub nagrody świeckiej (jak np. w *Legendzie o św. Jopie*) za wyrzeczenie się dóbr ziemskich służyła m. in. finansowej polityce kościoła, wspierała moralny przymus, stosowany przez duchowieństwo przy ściąganiu takiej formy podatku pośredniego, jakim były odpusty, darowizny itp. Niech się taka interpretacja nie wyda grubymi niemi szyta; to schematyzm i prymitywizm propagandy kościelnej pozwala bez popadania w wulgaryzm wiązać typ bohatera pozytywnego w literaturze hagiograficznej bezpośrednio z interesami materialnymi kościoła. Wiemy przecież, że organizowanie kultu świętych związane było najściślej z interesami finansowymi kościoła. Mamy przecież do czynienia z epoką, w której wszelkie dziedziny życia społecznego zostały nasycone treścią religijną.

Kościół katolicki w wiekach średnich utrzymywał porządek feudalny, „otaczał ustrój feudalny aureolą łaski bożej” — pisze Engels. Ale pomiędzy świeckim i duchownym feudalem wrzała walka.

Autorowie pamiętali o tym, ale tylko wtedy, gdy pisali o Gallu Anonimie, gdyż sam tekst narzucał zagadnienie konfliktu między świecką a duchowną władzą. Teksty hagiograficzne są wieloznaczne, ich właściwy sens wyjaśnia się dopiero przy konfrontacji z konkretną sytuacją polityczno-społeczną. Dlatego w *Legendzie o św. Aleksym*, przynajmniej w znanej nam piętnastowiecznej wersji, musimy się dopatrzeć próby przeciwdziałania laicyzacji życia w wieku XV, w okresie formowania się narodowości polskiej.

Na s. 17 mowa jest o pierwszych utworach hagiograficznych w Polsce, o legendzie o św. Wojciechu i o legendzie o św. Stanisławie, którego nieznanemu autor kreował na obrońcę ludu. Podręcznik słusznie stwierdza: „tak ujęta sylwetka pierwszego narodowego świętego miała oddziaływać silniej na wyobraźnię buntującego się ludu i wytworzyć opinię, że kościół jest jego obrońcą”. Wyobraźmy sobie, że pilny, ciekawy uczeń nie zechce poprzestać na podręczniku szkolnym i z jakiegoś Pilata dowie się, że *Legenda o św. Stanisławie* to *Vita sancti Stanislai (minor lub maior)*, napisana oczywiście po łacinie. Podobnie postąpi nauczyciel i student, który interpretacyjną częścią podręcznika IBLowego zechce uzupełnić obfity materiałowo, ale fałszywy w ocenach podręcznik uniwersytecki. Student, tym bardziej uczeń, nie zawsze potrafi wyjaśnić sobie sprzeczność między łaciną *Vitae* a przeznaczeniem jej dla ludu. Trzeba zatem krótko wyjaśnić, że znane nam odpisy *Życia św. Stanisława* są dowodem popularności tematu w literaturze religijnej, że mogły obok tekstu łacińskiego istnieć i niewątpliwie istniały i wersje polskie. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem podobnym, co w kazaniach łacińskich, które były łacińskim konspektem

kazań wygłaszanych po polsku, jak tego dowodzą odnalezione na odpisach polskie głosy. Poświęcam tej drobnej na pozór sprawie chwilę uwagi, bo sądzę, że nie wolno nam niedopatrzaniem czy niedomówieniem podważać zaufania czytelnika do słusznych interpretacji.

O ile w ocenie hagiografii ograniczyli się autorowie podręcznika do wskazywania jedynie niebezpieczeństwa grożącego kościołowi ze strony mas ludowych, o tyle w utworach apokryficznych nie docenili elementów ludowych czy, szerzej mówiąc, laickich. Na s. 21 czytamy, że „podobne [scil. jak hagiografia] obiecująca ludowi szczęście na tamtym świecie w nagrodę ziemskiego ucisku] zadanie spełniały średniowieczne romanse religijne. Przedstawiały one np. Chrystusa jako ubożego chłopca wychowującego się w domu biednego, starego cieśli Józefa”. Sądzę, że interpretacja ta jest z gruntu fałszywa. Apokryf spełniał inną rolę. Wyrastał on ze świeckich zainteresowań i świeckiej interpretacji *Pisma św.* Ewangelie dostarczyły bardzo skąpych wiadomości o życiu św. Rodziny. Te skąpe informacje usiłowali autorowie apokryfów uzupełniać domysłami i fantazją. Nasycali schematy ewangelii znanymi sobie współczesnymi szczegółami obyczajowymi. Przypisywali św. Rodzinie cechy normalnej zwykłej ludzkiej rodziny: Jezus pomaga Józefowi w pracy, Maria zajmuje się gospodarstwem domowym, kocha po ludzku swego syna, nie chce zrozumieć jego powołania i rozpacza na myśl o jego przyszłej męce. Takie ujęcie materiału nie miało nic wspólnego z reakcyjnymi tendencjami hagiografii. Hagiografia uniezwyklała swego bohatera, apokryf dążył do uczłowieczenia św. Rodziny. Człowiek wyobrażał sobie zawsze boga na wzór i podobieństwo swoje. Jeśli apokryf akcentował ubóstwo św. Rodziny, to nie trzeba w tym doszukiwać się tendencji do rozładowania nastrojów rewolucyjnych mas ludowych, ale raczej należy widzieć chęć wydobycia zatartych w ewangelii tradycji plebejskich pierwotnego chrześcijaństwa. To była jedna z przyczyn, dla których kościół zwalczał apokryfy. Trzeba zatem na apokryfy patrzeć jako na dzieje ścierania się świeckiej, ludowej wyobraźni z oficjalną scholastyką, trzeba dostrzec w apokryfach elementy pierwszego stopnia realizmu, realizmu naiwnego.

Kryteria oceny stosowane przez autorów podręcznika przy omawianiu literatury średniowiecznej są wyjątkowo płynne i nieprzemysłane. Tym tylko można tłumaczyć, że po pogniębieniu apokryfu autorzy tak wysoko ocenili *Rozmowę mistrza Polikarpa*, widząc w niej elementy ludowego poglądu na świat. Na s. 33 czytamy: „Wobec śmierci wszyscy są równi, czeka ona bowiem tak samo mądrych, jak głupich, złych i dobrych, możliwych dostojników duchownych i świeckich oraz wyzyskiwanych biedaków. Już w tak postawionym problemie odnaleźć można łatwo elementy ludowej, plebejskiej literatury domagającej się równości między ludźmi”.

Sądzę, że autorowie ulegli tu sugestii satyrycznego charakteru *Rozmowy*. Tymczasem nie każda satyra musi być pisana z pozycji postępowych, plebejskich. Argument równości wobec śmierci, zastosowany w *Rozmowie* służył podkreśleniu marności życia doczesnego i związany był z ulubionym przez kościół systemem wychowania, za pomocą strachu. Artystycznym odpowiednikiem tej metody wychowawczej są w *Rozmowie* naturalizm i makabra, przeciwstawione tu nowym, ale słabym jeszcze pędom realizmu naiwnego pojawiającego się w apokryfach.

Przejdźmy z kolei do następnej epoki, do renesansu. I tu część syntetyczna, wstępna, okazuje się lepsza od szczegółowych analiz. Trafnie ukazana została rodzimość polskiego renesansu wbrew kosmopolitycznym tendencjom burżuazyjnej historiografii, słusznie wydobyto plebejskie początki renesansu przypominając postać Biernata z Lublina. Jednakże te słuszne założenia nie zawsze zostały owocnie wykorzystane przy portretach pisarzy i interpretacji ich dzieł. Skrzywdzony został niewątpliwie Klemens Janicki, o którym napisano: „Janicki jest tylko z pochodzenia chłopem, w twórczości swojej ujmuje sprawę z punktu widzenia swych możnych protektorów” (s. 56). Trudno się z tym zgodzić. Na Janickim zaciążyły niewątpliwie obowiązki klienta, nadwornego poety. Wyraziło się to w panegirycznej części jego pisarstwa, w uleganiu gustom i poetyce dworu. Obowiązkom poety nadwornego przeciwstawił przecież Janicki swą autobiograficzną twórczość. Trzeba docenić jego przełomowe znaczenie. W oczach ucznia, który zna potrosze Mickiewicza i współczesnych poetów liryka osobista jest zjawiskiem naturalnym. Należy tu jednak wyjaśnić, że o prawo pisania o sobie samym, o autoportret literacki toczyła się w swoim czasie ostra walka z ograniczeniami poetyki dworskiej. Pisać o sobie, znaczyło pisać o sprawach i rzeczach ludzkich. Odkrycie człowieka w literaturze renesansowej byłoby niemożliwe bez przewyciężenia krępujących więzów mecenatu. Nie na darmo nieuprzedzony czytelnik wybierze dziś z elegii Janickiego elegię *O sobie samym*, a odrzuci panegiryki na cześć Krzyckiego czy Kmity. Czytelnik — niefachowiec trafnie nam wskaże, co z puścizny Janickiego zachowało trwałą wartość. (Nie umniejsza to w niczym zasług Janickiego, że na kilkanaście wieków przed nim, w warunkach częściowo podobnych, taką samą walkę stoczył Horacy).

Błędne postawienie problematyki kulturalnej dworu i mecenatu doprowadziło przy omawianiu twórczości Kochanowskiego do rażących uproszczeń. Pisząc o erotykach Kochanowskiego autorka stwierdza, że „kobieta w wierszach Kochanowskiego to urodziwa szlachcianka, a nie dama z magnackich komnat. Jest w tym wyraźne przeciwstawienie się arystokratyzmowi dworskiej poezji renesansowej” (s. 119).

To nie takie proste. Po pierwsze znaczną część erotyków Kochanowskiego stanowią erotyki dworskie lub padewskie, których tematem są zaloty, żarty, docinki, udana rozpacz. W stosunku do tego okresu erotyki późniejsze stanowią niewątpliwie pogłębienie problematyki psychologicznej, dają one głębszą wiedzę o człowieku, ich wartość poznawcza jest wyższa. Nie znaczy to jednak, że znaczenie erotyków dworskich sprowadzić można do banalnych igraszek trafu i miłości. Były i one wkładem do walki o laicką moralność, frywolnym nieraz śmiechem burzyły ascetyczne podstawy moralności religijnej. Po drugie erotyki późniejsze, aczkolwiek istotnie przewyciężają konwencje literatury dworskiej, nie mają bynajmniej jakiegoś określonego szlacheckiego charakteru. Owszem, biograf Kochanowskiego odniesie je może do Doroty Podlodowskiej, ale historyk literatury zobaczy w nich coś więcej, zobaczy twórcze wykorzystanie erotycznej pieśni ludowej, jej wersyfikacji i metaforyki.

Natomiast ostra walka z ograniczeniami poetyki dworskiej, z krępującą twórcę instytucją mecenatu stoczona została przez Kochanowskiego gdzie indziej, ale o tym w podręczniku glucho. Mam na myśli sprawę *Satyra, Zgody*,

tw. utworów politycznych Kochanowskiego, które — co tu dużo mówić — odegrały rolę wręcz reakcyjną. Autorka wyrządza Kochanowskiemu niedźwiedzią przyługę i bez przekonania wybiela tę nieczystą kartę w jego twórczości. *Zgoda* i *Satyr* — jak wiadomo — napisane były z inspiracji Myszkowskiego i Padniewskiego i służyły programowi kontrreformacji i agitacji na rzecz zabarzonej ekspansji polskiej magnaterii na Wschód. Wypowiedziana przy tej okazji krytyka szlachty była częściowo słuszna, ale też szlachta nie była klasą konsekwentnie postępową i nie trudno było wytknąć jej egoizm, kłótniwość, samozadowolenie. Kochanowski robi to jednak z pozycji kontrreformacji, czyli z pozycji reakcyjnych. I dlatego trzeba stanowczo zaprotestować przeciwko interpretacji tego wiersza zawartej w podręczniku. Na s. 101 czytamy, że odsyłanie zwaśnionych do Trydentu, „to dyskretna forma wyrażenia swego pogardliwego stosunku wobec ortodoksji katolickiej, domyślić się możemy zatem sympatii dla postępowego ruchu reformacyjnego”.

W istocie rzecz miała się, jak sędzę, właśnie na odwrót. Żeby się o tym przekonać, wystarczy przypomnieć inne wyjątki z *Satyr* i *Zgody*:

Chciał nam bóg tym swoją myśl opowiedzieć prawie,
Iż bydlę a człowieka stworzył k różnej sprawie.
Bydło więc nie szuka, jedno aby tyło,
Tego samego patrząc, co jest ciału miło;
Ale człeku, którego dusza poszła z nieba,
O tym czuć, o tym myśleć ustawicznie trzeba,
Jakoby się mógł wrócić na miejsce ojczyste,
Gdzie wspólnie przebywają duchy wiekuiste. (*Satyr*)

Czy to też „dyskretna forma wyrażenia swego pogardliwego stosunku wobec ortodoksji katolickiej”?

Albo w *Zgodzie*:

Świeccy niechaj się w cudzy urząd nie wdawają,
Ale rycerskim sprawom znowu przywykają.

Czy to wyraz „sympatii dla postępowego ruchu reformacyjnego”?

Pochwała głupoty (bez ironicznego Erazmowego cudzysłowu) i dewocji, godna Orzechowskiego, stoi tu w sprzeczności nie tylko z walką szlachty o egzekucję dóbr koronnych, ale z laicką, antykatolicką ideologią własnych utworów Kochanowskiego. Jak wobec tego wybrnąć z tych trudności? Czy mamy tu do czynienia ze zmianą poglądów, czy też z czasowym regresem ideowym Kochanowskiego?

W miarę możliwości ustalmy chronologię niektórych drobnych utworów Kochanowskiego i spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie.

Znana fraszka Kochanowskiego *Na ojca świętego*, antypapistska i antykatolicka, jest, jak wiemy, tłumaczeniem epigramatu biskupa-apostaty, Andrzeja Dudyca:

Sanctum non possum, patrem te dicere possum,
Cum video natam, Paule Secunde, tuam

i powstała prawdopodobnie ok. r. 1567 w momencie odnowienia przez Kochanowskiego dawnej zażyłości z Dudycem.

Fraszka *Na posta papieskiego* odnosi się najprawdopodobniej do legata Commendoniego i wiąże się z jego przyjazdem do Polski, powstała zatem w la-

tach 1563/4. Tak więc w okresie pisania *Zgody*, *Satyra* i *Wrózek* pisał Kochanowski i inne utwory stojące w jawnej sprzeczności z tezami wierszowanej publicystyki. Warto jeszcze przypomnieć elegię łacińską III 15 z jej charakterystycznym autopolemicznym momentem:

... zwóz szybko z boru drzewo do statków budowy,
choć Satyr zębem zgrzyta, choć się burza sroży...

(przekł. Ejsmonda)

napisaną ok. 1569 r., w każdym razie po *Zgodzie* i *Satyrze*.

Przytaczam tylko te utwory, które albo są bezpośrednią polemiką z *Satyrem*, albo których datę powstania możemy w przybliżeniu zrekonstruować. Tymczasem fraszek i pieśni antykatolickich i antypapistowskich jest więcej, a powstały one w okresie dworskim, tak przed 1562, jak po 1564 r. (daty sejmów egzekucyjnych).

Mamy wobec tego do czynienia z sprzecznością dzielącą twórczość Kochanowskiego na dwa nurty. Do wyjaśnienia może nam pomóc wyznaczenie Kochanowskiego (który nazwał *Satyra* pracą „kwapioną”) i znane zbieżności między *Satyrem* i *Zgodą* z jednej strony, a enuncjacjami politycznymi Padniewskiego i Myszkowskiego z drugiej. Sądzę, że klucz do tego zagadnienia leży w trudnej kwestii stosunku poety-klienta do mecenatu. Kochanowski spełnia zlecenia swego protektora, a później polemizuje z nimi, ulega sugestiom politycznym swych możliwych przyjaciół, z czasem się z tych sugestii otrząsa. Kochanowski-humanista nie zamykał się w skorupie egotycznych konfliktów, ale też nie grzeszył nazbyt bystrym rozeznaniem politycznym. Swą głęboko ludzką, antypapistowską, laicką twórczością uczestniczył Kochanowski w walce z kościołem katolickim, stróżem porządku feudalnego, wraz z najlepszą częścią szlachty broniącej w tym czasie interesów całego narodu (narodowości raczej) przeciw kosmopolitycznemu kościołowi rzymskiemu; nie zatrzymywał się on na granicach, do jakich doszedł szlachecko-kalwiński obóz reform, ale toczył walkę dalej o uwolnienie człowieka od dogmatyki w ogóle, a nie tylko od dogmatyki katolickiej. Wraz z wieloma humanistami podzielał on złudzenia, że poprzez reformę obyczajów, przez wychowanie człowieka opierającego zasady postępowania o wyrozumowaną świecką moralność, można dojść do zbudowania sprawiedliwego, zgodnego z interesami wszystkich ludzi porządku społecznego. W tak pojętej walce zlekceważyli humaniści konkretną działalność polityczną, nie chcieli przyłączyć się do żadnego obozu, żaden zresztą obóz nie mógł zaspokoić ich maksymalistycznych żądań. Bardzo często z zaufaniem przyłączyli się do oświeconego króla czy księcia, jeszcze częściej królowie i księżęta nie spełniali pokładanych w nich nadziei. Nie umieli dostrzec rewolucyjnych sił ludu i to był ich tragizm.

I Kochanowski dawał się nieraz wykorzystać dla celów przeciwnych interesom narodowości. I to był jego błąd. Przekreślał jednak rychło dawne swe wystąpienia nowymi utworami, walczącymi o niezależność i osobistą wolność poety i to jest jego zasługa. Nie znamy prawie niestety korespondencji Kochanowskiego, z trudem rekonstruujemy jego biografię, nie wiemy, o czym rozmawiał z Padniewskim, Myszkowskim. Wiemy, że stosunki towarzyskie utrzymywał z nimi dalej, wiemy, że już z Czarnolasu zadedykował Myszkowskiemu przekład *Psalterza*, ale przekład bardzo... niekatolicki.

Trzeba zatem odważnie pokazać, że nasz największy poeta doby staropolskiej popełniał błędy. Nie ujmie to nie jego wielkości, pod warunkiem, że pokażemy także przewyżczenie tych błędów, że pokażemy mozół i trud poszukiwania.

Sprawa poruszana jest tym ważniejsza, że nie ogranicza się tylko do genezy *Satyra*, *Zgody* czy ewentualnie *Wrózek*, ale dotyczy w równej mierze *Odprawy posłów greckich* i stosunku poety do Jana Zamoyskiego. Tymczasem autorka rozdziału o Kochanowskim uporała się z *Odprawą* nazbyt szybko, konstatując, że „tendencja utworu była zgodna z programem politycznym kanclerza” Zamoyskiego (s. 113). Tymczasem tak prosto to nie wygląda. Tadeusz Sinko trafnie zauważył, że ostatnia wypowiedź Antenora nie zgadza się z duchem utworu i postawił tezę o późniejszym dopisaniu tego pięciowiersza. Teza ta wydaje mi się słuszna, choć naturalnie nie zgadzam się z Sinką wtedy, gdy dowodzi on, że poza ostatnią wypowiedzią *Odprawa* nie ma charakteru politycznego. *Odprawa* w całości jest tragedią polityczną, choć w jej programie zawarte są zasadnicze sprzeczności. Posługując się modelem historii trojańskiej Kochanowski wypowiedział krytykę magnackiej dumy i prywaty, w postaci Iketaona dał satyrę na szlacheckiego warchoła, płatnego najemnika magnatów, w usta Antenora (właśnie Antenora) włożył potępienie prowokacji do wojny. Antenor przez cały czas jest konsekwentnym zwolennikiem zachowania pokoju z Grekami, gdy właśnie prywatą Aleksandra i jego klienta Iketaona pcha do wojny. I ten sam Antenor w zakończeniu tragedii wypowiada decyzję zaczepną, która współcześnie mogła brzmieć jak aluzja i zachęta do zaczepnej wojny przeciw Moskwie.

Trudno wobec tego mówić o zgodności z programem Zamoyskiego, organizatora tej wojny, a w żadnym razie nie można twierdzić, że w charakterystyce Antenora dałoby się „odnaleźć niejeden rys kanclerza Zamoyskiego” (s. 114). Jeśli na prośbę Zamoyskiego Kochanowski w ostatniej chwili dopisał do gotowego utworu ostatnią kwestię Antenora, to uczynił to wbrew własnemu programowi antywojennemu, wypowiedzianemu w innym miejscu w elegii do Nideckiego: *Bella instant Patrici*. Nie wiemy, jakich słów użył Zamoyski dla przekonania Kochanowskiego, jedno jest pewne, że humanista dał się jeszcze raz zwieść politykowi.

Kochanowskiemu poświęcono najwięcej miejsca z tego powodu, że jest to nasz największy poeta staropolski. Czytelnik podręcznika próżno by jednak szukał w nim potwierdzenia wielkości Kochanowskiego. Znajdzie gołosłowne zapewnienia o wybitnym talencie mistrza z Czarnolasu oraz nie zawsze trafną, jak widzieliśmy, analizę jego poglądów ideologicznych. Nie pokazano, na czym polegają wybitne osiągnięcia artystyczne Kochanowskiego, jaki był ideowy sens jego walki o narodową w formie poezję. O *Psalterzu* czytamy na s. 115, że „Kochanowski... na piękno psalmów zareagował przede wszystkim jako artysta”, co jest o tyle słusznie, że nie zareagował jako teolog. Jednak czytelnik po przeczytaniu tego truizmu gotów pomyśleć, że przekład psalmów to zabawka pięknoducha. O *Sobótce* pisze autorka (po równie gołosłownym zapewnieniu o jej ludowym charakterze), że „humanista rozmiłowany w literaturze klasycznej chętnie sięga do tej literatury, ożywia polskie lasy mitycznymi faunami. Całość kończy pochwałą wsi, jej wesela i dostatku” (s. 112). Tyle

teraz wiemy o *Sobótce*, ile publiczność krakowska o *Weselu* po słynnej recenzji Prokescha.

Dałem tylko kilka przykładów. Błędy popełniane przy interpretacji Kochanowskiego można by cytować przez kilka stron.

Źródłem błędów przy interpretacji Kochanowskiego jest, jak sądzę, nieprzemysłenie kwestii narodowej. Wprawdzie w rozdziale wstępnym do renesansu czytamy słuszną konstatację, że szlachta w walce z kościołem, przynajmniej w pewnym okresie i w pewnym stopniu, reprezentuje interesy całej narodowości, ale z tego trafnego sformułowania wstępnego, interpretując twórczość Kochanowskiego, autorka tego rozdziału nie umiała wyciągnąć wniosków. Zagubiła się w naciąganiu wątpliwej wartości politycznych komentarzy Kochanowskiego, zamiast konkretnie pokazać, gdzie Kochanowski walcząc o laicką i narodową literaturę reprezentuje interesy ludu i przeciwstawia się kosmopolityzmowi kontrreformacji, a gdzie ulega naporowi ideologów magnackich. Trzeba było pokazać, że inny jest sens dzieł Kochanowskiego-artysty, realisty, a inny jego publicystycznych, choć wierszowanych komentarzy.

Zresztą nie tylko w Kochanowskim odbił się ujemnie ten metodologiczny niedostatek. I z Modrzewskim nie bardzo umiano sobie poradzić. Raz bowiem dowiadujemy się, że Modrzewski „wyrażał... poglądy zgodne z interesami ogółu szlachty, wystąpił jako jej ideolog” (s. 92—93, o *Oratio de legatis*), w innym miejscu zaś czytamy, że Frycz w *De poena* „wzniósł się ponad interes własnej klasy” (s. 91). Zważywszy, że *Oratio* jest późniejsza od *De poena*, czytelnik mógłby sądzić, że Modrzewski z czasem wycofał się z bardziej postępowego stanowiska. Oczywiście tak nie było, w jednym i drugim wypadku Modrzewski staje na stanowisku lewego skrzydła szlacheckiej reformacji, będącego wyrazicielem opinii i interesów całej narodowości. Jeśli nie powiemy, że za przywódcami szlacheckich sekt protestanckich stały masy ludowe, żywiłowy sojusznik walki z kościołem, że w łonie kalwinizmu polskiego wrzał radykalny plebejski odłam, który z czasem wyodrębnił się i zorganizował w zborze arian-skim, nie zrozumiemy, skąd Modrzewski czerpał siłę do krytyki nie tylko kościoła, ale i szlachty (nie wchodząc zresztą nigdy do żadnej z zorganizowanych sekt religijnych).

Żeby uniknąć nieporozumień, stwierdzam: to wszystko w podręczniku jest, ale w historycznym komentarzu, we wstępnych wyjaśnieniach. Natomiast we właściwej części interpretacyjnej brak zastosowania słusznych założeń przy konkretnej analizie.

Autorzy podręcznika wprowadzili nową periodyzację okresu staropolskiego w naszej literaturze, przedłużając Renesans na I. połowę XVII wieku. Sprawa jest trudna i nie miejsce tu na jej dyskutowanie. Jeśli ją podejmuję, to jedynie dlatego, że nie zawsze autorowie pamiętali o jej konsekwencjach. Podstawą do przedłużenia okresu Renesansu w Polsce o sto niemal lat była postępową twórczość arian i plebejskich poetów XVII w. Tymczasem na s. 45 spotykamy taką oto niespodziankę: „Następcami Reja i Kochanowskiego byli dwaj Zbylitowscy i Szymonowie”. To chyba nieporozumienie. Zbylitowscy i Szymonowie w zasadzie nie kontynuowali najlepszej tradycji walczącej twórczości Kochanowskiego i Reja. Szymonowie (poza nielicznymi sielankami) zagubił się w dworskiej maskaradzie bukolicznej, a Zbylitowscy wzięli

z Kochanowskiego właściwie pochwałę wsi, która w ich ustach nabrała już wszelkich cech schyłkowości. Za prawdziwych kontynuatorów Kochanowskiego musimy uznać nie Szymonowica i Zbylitowskich, ale plebejskich pisarzy, rybałtów oraz poetów ariańskich mimo ich wszystkich ograniczeń.

Omówienie literatury wieku XVII stoi wyraźnie na wyższym poziomie niż tyle uwag następcząca interpretacja Kochanowskiego i in. Autor tej części próbuje podjąć problematykę artystyczną, opisać i zinterpretować formę utworu. Tak np. autor nie omija trudnego zagadnienia poetyki Sarbiewskiego, podejmuje interpretację jej antyrealistycznych tendencji. Czyni to może zbyt lapidarnie, aluzyjnie dla ucznia IX klasy, ale też i orzech jest nader ciężki do zgryzienia.

Obok jednak słusznych interpretacji strony artystycznej utworów przydarzyły się gdzieniegdzie wulgaryzacje i niezręczności. Tak np. o J. A. Morsztynie autor pisze: „On też, podobnie jak Opaliński, wydobywa na jaw najgorsze strony swego środowiska, opisuje graniczące ze skandalem wydarzenia życia dworskiego. Ale Morsztyn robi to równocześnie z dużym upodobaniem. On sam tym życiem żyje, w nim się nawet lubuje. Dzięki temu (?) powstało pod piórem Morsztyna dzieło rzetelnego artyzmu...” (s. 201). Chyba nie „dzięki temu”. Demoralizacja i cynizm nie prowadzą do wybitnych osiągnięć artystycznych, prowadzą może do rutyny pisarskiej swojego rodzaju i do wirtuozerii, ale to przecież nie to samo. Dzieło rzetelnego artyzmu powstawało wtedy, gdy Morsztyn przejmował tradycje literatury renesansowej, a nie wtedy, gdy babrał się w dworskich brudach.

Nie zostały należycie wykorzystane możliwości analizy ideowo-artystycznej przy omawianiu plebejskiej literatury XVII wieku. Świetna książka Jewniny o Rabelais'm uczy, jak wyjaśniać takie zjawiska artystyczne jak komizm, groteska. Doświadczenia Jewniny można było twórczo zastosować do tzw. komedii rybałtowskiej, zamiast skwitować ją niesłusznie oschłym wyczeniem tytułów (s. 172). *Albertus z wojny, Wyprawa plebańska czy Peregrynacja dziadowska* zasłużyły na coś więcej niż na wymienienie.

Jednak najważniejszy zarzut musimy postawić autorowi z racji *Jerozolimy wyzwolonej* Tassa-Kochanowskiego. Czytelnik dowiaduje się jedynie, że kolejne wydania polskie *Jerozolimy* łączą się z przygotowanymi lub prowadzonymi wówczas wojnami z Moskwą. To wszystko. Czy był to przekład prozą, czy przekład wierszem — to nie interesuje autora. Co pozostaje zatem z dzieła wybitnego bądź co bądź artysty-tłumacza? Jedynie wiadomości bibliograficzne, które dowodzą zaangażowania Piotra Kochanowskiego w agitacji do wojny przeciw Moskwie. To wielka krzywda dla pisarza, tym bardziej że zestawienie dat wydania przekładu Kochanowskiego z datami wojen moskiewskich nasuwa jednak pewne wątpliwości. Pierwsze wydanie (a to nas głównie interesuje, ponieważ drugie wyszło po śmierci tłumacza, który tym samym nie może za nie brać odpowiedzialności) wyszło w r. 1618, tj. — jak pisze autor — „w czasie wyprawy królewicza Władysława na podbój Moskwy” (s. 184). To prawda, ale wyszło też na dwa lata przed wojną turecką, 1620—1621. Pytanie teraz, z którym wydarzeniem historycznym należałoby związać powstanie polskiego przekładu *Jerozolimy*? Rzecz to dla ideowej oceny dzieła wcale nie obojętne.

Pięć stron poświęca autor tej części podręcznika na omówienie tzw. epoki saskiej. Na więcej zresztą literatura tego okresu nie zasłużyła. Nie sądzę jednak,

aby o złej literaturze można było pisać niedbale, niestarannie, żeby tylko zbyć. W tym rozdziale podręcznika rzuca autor od niechcienia kilka nazwisk i tytułów trzeciorzędnej jakości, których albo nie należało w ogóle wymieniać, albo omówić i uzasadnić ich odnotowanie. Na ostatniej stronie na zakończenie czytamy: „Obok Chmielowskiego i Baki będziemy mieli Elżbietę Drużbacką, Franciszkę Urszulę Radziwiłłową i Wacława Rzewuskiego. Pisarze ci, ratując honor upadającej już ostatecznie literatury czasów saskich, nie mogli oczywiście przygotowywać przelomu”. Nie mogli, to prawda, ale jeżeli ratowali honor, to należało im poświęcić nieco więcej miejsca i uwagi, w każdym razie więcej niż np. Wieruszowskiemu czy Bystrzonowskiemu.

*

I wreszcie strona dydaktyczna podręcznika.

Podręcznik jest trudny, za trudny dla ucznia kl. IX. To zresztą powszechnie narzekanie na nasze pomoce szkolne z zakresu humanistyki. Osobiście jestem przeciwnikiem stosowania wszelkiego rodzaju papki niemowłczej w dydaktyce, omijania za wszelką cenę słów obcych, unikania terminologii fachowej. Uczeń szkoły średniej daje sobie radę z wzorami chemicznymi, z abstraktami matematyki, nie widzę więc powodu, dla którego nie miałby podolać np. terminologii z zakresu poetyki stosowanej przy analizie utworu literackiego. My tymczasem boimy się napisać coś o trocheiczno-amfibrachicznym ośmiozłogowcu Koehanowskiego. A mimo to nie piszemy łatwo.

Dzieje się to dlatego właśnie, że zamiast nauczyć ucznia (w miarę możliwości i stanu naszej wiedzy o literaturze) stosowania ścisłej terminologii, określonych pojęć, wolimy wypuszczać się na lotne piaski stylu metaforycznego i aluzyjnego. Oto przykład: na s. 152 czytamy, że silnym naporem konfliktu szlachecko-chłopskiego w okresie buntów Chmielnickiego tłumaczy się „zaostrenie satyry w twórczości Potockiego, która wywodziła się wprawdzie z najlepszych tradycji ariaństwa, ale jej bezpośrednie rumieńce są odbiciem pożogi rozgorzałej na Wschodzie”. Te rumieńce będące odbiciem pożogi są chyba trudniejsze do zrozumienia i zapamiętania niż fachowe, pozornie bardzo uczone, ale ścisłe terminy.

Co zaś najwięcej utrudnia korzystanie z tego podręcznika, to wręcz fatalny układ i podział na rozdziały. Całą literaturę w. XVI i 1. połowy w. XVII ujęto w jednym rozdziale, podzielonym na podrozdziały, zależnie od środowiska czy klasy i zależnie od ideologii, jaką reprezentują dani pisarze. W ten sposób w podrozdziale *III. Literatura reformacyjno-narodowa* znaleźli się pisarze od Bielskiego do Zbylitowskich, w podrozdziale *IV. Literatura reakcyjno-magnacka* omówieni zostali pisarze od Kromera i Orzechowskiego do Samuela Twardowskiego. Podrozdział *V. Radykalny nurt literatury końca XVI i pierwszej połowy XVII wieku* zaczyna od Budnego, a kończy na Bartłomieju Zimorowicu.

Nie trudno spostrzec, że układ chronologiczny został zakłócony. Nie przemawiam za ścisłym zachowaniem chronologii bez względu na zagadnienia i obozy, w jakie grupowali się pisarze. Układ problemowy ma swoje zalety, byle tylko nie rozciągał się na tak wielkie odcinki czasowe, że wszelkie poczucie chronologii zostanie zatarte. Chronologia nie jest nauką łatwą ani błahą. Uczeń, który na jednej lekcji słyszał o Zbylitowskich, na następnej wraca kil-

kadzieślat lat wstecz i uczy się o Orzechowskim. Nic dziwnego więc, że na egzaminie wstępnym na polonistykę będzie utrzymywał, że Kromer żył w wieku XVII, a — dajmy na to — Potocki w XV w.

Zresztą nie tylko wzgląd na pamięć ucznia musi tu zaważyć. Tego rodzaju układ jest w rażącej niezgodzie z zasadami dialektyki. Sugeruje mimowolnie, że literatura rozwija się dwoma niezależnymi od siebie strumieniami. Trzeba zastosować leninowską naukę o dwóch kulturach, ale trzeba pamiętać o jej podstawowym twierdzeniu o wzajemnym oddziaływaniu na siebie obu kultur o ich nierozzerwalności w walce, o jedności przeciwieństw.

Proponuję zatem zachowanie układu problemowego, ale w mniejszych odcinkach czasowych, tak aby konfrontowanie i kontrastowanie pisarzy dwu wrogich nurtów możliwe było w niezbyt odległych godzinach lekcyjnych.

Jerzy Ziomek